

TADEUSZ KRYZIA

CZWARTY ROZBIÓR POLSKI

DOLINA TAMARY

## DOLINA TAMARY

Dawnymi czasy była tu polana, ~~Atsfsfsfsfs~~  
 A teraz ciągnęła, prosta lasu ścianą,  
 Przez <sup>las</sup> dziesiątki kopano drzewinę,  
 Aby odsłonić widok na dolinę.  
 Prawda, że las ten, wzgórek, dolina, polana,  
 Było wszystko własnością jedyne go pana.  
 A był to pan prawdziwy, pan wielki nad pany,  
 Polak i patriota historii znany.  
 Dla Ojczyzny przez lata życia losy ważył,  
 Toteż król go tym stanem właśnie wyposażył :  
 Dał mu połacie ziemi, zamek i dolinę,  
 A i w dowód wdzięczności za żonę hrabinę.  
 Wdowę, co prawda, lecz nie była stara,  
 Wręcz przeciwnie, urocza, imieniem Tamara.  
 Gdy hrabina na zamku objęła władanie,  
 Pierwsze trudne mężowi zadała pytanie:  
 Kto ten zamek budował ? Istne kazamaty.  
 Widać przecież, że wystrój ogromnie bogaty,  
 Lecz żadnej estetyki, smaku za halerza.....  
 No, jeżeli już ten zamek był zamkiem rycerza ?  
 To wcale mnie nie dziwi... Ten nawet spał w zbroi,  
 Na cóż <sup>mu</sup> tutaj było dziesiątków pokoi ?

Ale żeby tak wewnątrz urządzić bez głowy?  
 To wewnątrz żywcem błaga szybkiej przebudowy.  
 Na zewnątrz też wygląda nieco spustoszały,  
~~W~~ależałoby nawet przebudować cały.  
 Lecz byłaby to strata niszczyć takie mury,  
~~J~~o bowiem przeszłych wieków styl architektury.  
 I jak wyrzekła sobie, tak też się i stało,  
 Za kilka dni, jak w ulu na zamku zawrzało:  
 Sprowadzono murarzy, ludzi do pomocy,  
 I począwszy od rana aż do samej nocy,  
 Słychać było stukania, szurania, rozmowy,  
 W każdy dzień prawie jeden pokój był gotowy.  
 Hrabina przychodziła dziennie kilka razy,  
~~W~~ydając polecenia, uwagi, rozkazy:  
 Tu będzie pokój przyjęć, a tutaj sypialnia,  
 Tam pokoiki dzieciom, a obok bawialnia.  
 Tutaj biblioteka, a dalej izba do czytania,

Tu znów sala taneczna, a z boku kajuta dumania,  
Tam pokoje dla służby, dalej dla kucharki,  
Tu mieszkania dla pochwiał i wręczać podarki.  
Wszystko się pokrywało, wszystko było w zgodzie,  
Bo któż by tu władczyni mógł stać na przeszkodzie.  
Zamek jakby odmłodniał, iny, jasny, nowy.  
A przed oknami ogród duży, kwadratowy,  
Rozciągał się daleko w południową stronę,  
Krajem drzewa olbrzymy rzędem posadzone.  
Nie wiedzieć kto je sadził, ile wieków temu,  
Można by je przypisać nawet i Chrobremu, BSSSSSSSSSSSS  
Bo takie im ogromne zwisały konary...  
No i zamek, co prawda, też przecież był stary.  
Nikt, kto by go zobaczył, nie przeczyłby temu,  
Pomimo że wyglądał dzisiaj po nowemu.  
Hrabina zamkiem wielce była zachwycona,  
Chociaż tego medalu była druga strona.  
Bo jak wiemy rzecz każda posiada dwie strony  
I nikt przecież pod słońcem nie byłby zdziwiony, WSSSSSSSSSS  
Wiedząc, że nasza pani polaną też włada,  
A tu wokoło pustka nie ujrzyć sąsiada.  
Szybko władczyni zamku i z tym sobie radzi,  
Na polanie buduje domy dla czeladzi.  
W dolinę znów sprowadza swoich bliskich krewnych,  
Aby także w pobliżu miała ludzi pewnych,  
Z którymi by na codzien mogła żyć, rozmawiać,  
Przyjaźnić się i zwręcać, cieszyć i zabawiać.  
Wszystkim była przyjazna, wszystkim szczerą, miłą,  
Toteż się i dolina szybko zaludniła.  
Pobudowano domy, ogrodzono w płoty,  
Droga biegła przez środek mając dwa wyloty.  
Tak, aby można było wjechać z każdej strony,  
Wzdłuż drogi stanął kościół z wieżą, no i dzwony.  
Sciągały tu na modły całe okolice:  
Chłopi, parobcy, szlachcianki, szlachcice.  
Wo zami i na koniach, jak mógł kto to bieżył,  
Každy tutaj przybywał, kto w Chrystusa wierzył.

Hrabiny już nie było, zmarła dawno temu,  
 A zamek odnowiony istniał po staremu.  
 Czasem proboszcz w kazaniu wspomniał o Tamarze,  
 O jej pocziwym sercu, o jej wielkim darze:  
 Drodzy parafianie! Szczerze wyznać muszę,  
 Po módlmy się pobożnie za tę wielką duszę.

#### Dolina Tamary

Kto rzekł te słowa, trudno dociec tego,  
 Więc nie dociekam, rzeknę według niego:  
 Choćbyś przemierzył wszystkie strony świata,  
 Nie miał przyjaciół, ni sióstr ani brata,  
 A gdzie prawdziwie poczułbyś się wolny,  
 Jak zajęc w stepie lub ten ptaszek polny.  
 Wrócisz tam, choćby zgarbiony we dwoje,  
 Nie bacząc nawet na trudy i znoje.  
 Bo pani wolność jest tym ideałem,  
 Wrócisz doń duszą, choćbyś nie mógł ciałem.  
 To święte słowa, powiedziane szczerze,  
 Ja z całą mocą w nie ~~w nie~~ od dawna wierzę.  
 Ten tylko nie wie, kto na własnej skórze  
 Nie odczuł. A ja tutaj nie baję, nie wróżę,  
 Bo dzisiaj chociaż jestem i chory i stary,  
 Mknę duszę w cudną dolinę Tamary.  
 Bo to dolina jak raje, jak słońca,  
 Mógłbym ją sławić na wieki bez końca.  
 Tam wszystko inne, jak w bajce przyjemne,  
 Dzisiaj, muszę powiedzieć: dziwne i tajemne.  
 Ryby na ładzie czuły się jak w wodzie,  
 Chwasty pachniały jak róże w ogrodzie.  
 Każdy krzak z domą by ci opowiadał,  
 Co widział, słyszał, gdyby mową władał.  
 A drzewa, co to jeszcze P"Potop "; pamiętały,  
 Zgięte na wpół w ukłonie jakby się pytały:  
 O Szweda, o Moskala, o Turka, Tatara,  
 O Krzyżaka, co gnębił, jak głosi Baśń Stara.  
 Domy jeszcze częściowo strzechami pokryte,  
 Słyszysz słowa jak gdyby w ich oknach wryte:

Każdemu, kto myśl polską żywi w sercu, w czynie,  
 Niech wchodzi nami pewny, że tutaj nie zginie.  
 Panowała tu przyjaźń można rzeknąć śmieie:  
 Pies z kotem razem jadał jak dwa przyjaciele.  
 Co to była za przyjaźń określić się nie da,  
 Wiemy, że do przyjaźni skłania wspólna bieda.  
 Takiej krainy pewno nie spotkałbyś w świecie:  
 Była czuła jak matka, a miła jak dziecko.  
 Przez środek od północy w swe wody obfity,  
 Snuł się potok zygzakiem jak wąż jadowity.  
 Zdawało się iż wzgórek żądlić ma zamiary,  
 Na który, choć powoli konał zamek stary,  
 Też usytuowany jakby w kształcie węża,  
 To zamek wieków sławy polskiego oręża.  
 Bo powiedziawszy prawdę tak od serca szczerze,  
 Stąd ruszali na Gruwald okuci rycerze.  
 Jan III aż pod Wiedeń w imię chrześcijaństwa,  
 Husaria pomknęła poskromić pogaństwa.  
 Tędy Stefan Czarniecki, pośród zgiełku, krzyku  
 Pędził Szweda hen w dale przez wody Bałtyku.  
 A nawet i Kościuszkę zesłały niebiosy  
 I Moskał posmakował, co to polskie kosy.  
 Minął wiek, przeszły lata narodu niedoli,  
 Nie wiem, czy by to z Bożej albo ludzkiej woli?  
 A strumień jak przed wieki, przemierzał dolinę  
 Pieszcząc wzgórek ramieniem jak chłopak dziewczynę,  
 Którą jakby w śnie błogim przeżywała mary,  
 Tak śnił wzgórek, dolina, no i zamek stary.  
 Wszyscy w jedno zmówieni czekali świtania,  
 A że wreszcie nadeszła chwila zmartwychwstania.  
 Legiony to-żołnierska nuta,  
 Legiony to-straceńców los.  
 Legiony to-rycerska buta  
 Legiony to-ofiarny stos,  
 Legiony to-wolności głowa...  
 Z tą to pieśnią Piłsudski zdołał do Kijowa  
 I nabożnie jak kapłan, kropił bolszewików,  
 Gdyż carów już zabrakło i ich zwolenników.  
 O powrocie z Kijowa ani marzył wcale,  
 Lecz wszystko przekreśliły niewdzięczne Wersale.

To nie do wiary, proszę, to hańba, to drwiny,  
 Lecz Naród był bezsilny, Piłsudski bez winy.  
 Tu już by nie pomogła żadna bitwa krwawa,  
 Bowiem ci dyktowali, co nie mieli prawa.  
 Ale i tak spragnione wolności nowiny,  
 Mknęły przez pola, łąki, góry i doliny  
 I tu, gdzie piękny wzgórek i gdzie zamek stary,  
 W dolinę, co ją zwano doliną Tamary.

### Tamara

Przed chwilą powiedziałem trochę o dolinie,  
 A teraz, chociaż słówko o pięknej dziewczynie:  
 Która w zamku na wzgórzu młodość przeżywała,  
 Tu marzyła, tu kwitła i tu dojrzewała:  
 Oczy jej jak diamenty, albo błyskawice,  
 No i, co równie ważnym, piękne miała lice.  
 Ruch jej płynący jak strumień z doliny,  
 Figura nieodmienna od jeziornej trzciny.  
 Uśmiech jak samo słońce... Gdy mrugnęła okiem,  
 Mężczyzna, choćby nawet był lwem albo smokiem,  
 Stał się nagle barankiem, wierząc, że to czary,  
 Zresztą, nie chcę tu sławić urody tamary,  
 Bo jeszcze zalet pewno miałbym dla niej mnóstwo,  
 Bo ci też ona była jak anioł, jak bóstwo.  
 Ale nie chcę ukrywać, że to właśnie ona,  
 Na placu przed kościołem poznała Zenona.  
 Kiedy stał pośród innych, smukły i wysoki,  
 Nad wszystkimi głowami spoglądał na boki.  
 Nagle wzrok wstrzymał, jakby nie dowierzał,  
 I tak przez dłuższą chwilę Tamarę odmierzał.  
 Chociaż doń tyłem odwrócona stała,  
 Bowiem coś z koleżanką pilnie rozmawiała.  
 Nagle poczuła, że niezmierna siła,  
 Ciągnie jej głowę, więc się odwróciła,  
 Spojrzy. A Zenon uśmiechem ją darzy,  
 Rozumieć jej pozwala, że wciąż o niej marzy.  
 I rzecz się stała jak bywa w przyrodzie:  
 Kiedy to wąż grzejąc się na brzegu przy wodzie

Zobaczy żabę i wzrok w niej zagłębi,  
Ta nieboraczka wzdraga się i kłębi,  
Skrzeczy, lecz idzie wolno jak po mazi,  
Sama bowiem wężowi biedna w gardło włazi.  
Tak i tych dwoje od tego spojrzenia,  
Jakieś przedziwne gnębiły ~~nie~~ marzenia,  
Przecucia. Czyżby to może tak się już składało,  
Że spotkań prawie co dzień przybywało:  
Raz tak niechcący z rana nad potokiem,  
Z dalsza, co prawda, ubodli się wzrokiem,  
A takie myśli mieli rozartagnione,  
Że każde w swoją poszło sobie stronę.  
Znów w dniu tym samym, ale nad wieczorem,  
Tuż blisko zamku, pod ciemnym jaworem:  
Tamara ziemię biorąc sobie do wazona,  
I tym razem niechcący ujrzała Zenona:  
Szedł żwawym krokiem, w drugą stronę patrzył,  
Nawet szczęście Boże rzeknąć jej nie raczył.  
Często takie spotkania niechcące miewali,  
Raz bardzo z bliska, drugą raz z oddali.  
Nie wracam w młodość, ale wyznać muszę,  
Że gdy się zbliżą dwie młodzieńcze dusze,  
To jedna drugiej usłyszcy wołanie,  
Z dwóch serc, z dwóch myśli, to jedna się stanie.  
Żegłby ktoś pewno, że to nie do wiary,  
Że to dziwactwa, że to jakieś czary.  
Ale to chyba jest dziełem Natury,  
Że serc kochanych nie rozdziela mury,  
Nie stopią morza i ogień nie spali,  
I choćby nawet w najdalszej dali,  
Nawet w kosmosie też się nie zmarnują,  
Gdyż serca takie ciągle jedno czują.  
Tamara młoda i niedoświadczona,  
Wciąż nie wiedziała, że kocha Zenona.  
Nigdy żoną nie będąc, kochanką ni matką,  
Miłość dla takich wciąż bywa zagadką.  
Bo skąd ma wiedzieć, że to ciężar słodki,  
Gdy mama milczy, a nie mając ciotki,  
Kobiety światłej, co bywała żoną,  
I wiele razy została zdradzoną

Dogłębnie znając miłości ciężary,  
 Dla takich miłość, to wciąż temat stary,  
 Inna sprawa z Tamarą, to jeszcze dziecina,  
 A że jest piękną, to też nie jej wina.  
 Bo też taką na zawsze zostanie w pamięci,  
 Lecz ona sama żyć nie miała chęci.  
 Życie, mawiała, to nicość w otchłani,  
 No tak, jakże to mówią wszyscy zakochani,  
 Tym bardziej tacy, co w swej naiwności  
 Kochają szczerze, lecz bez wzajemności.  
 Dla takich właśnie koniec bywa szary,  
 Ale tak proszę, nie sądźmy Tamary.  
 Bo chociaż młoda, ale z charakterem,  
 Uczucie dla niej też nie było zerem,  
 Jej serce ciągle dziwnie jakoś biło,  
 A może to przypadek, czy tak się złożyło?  
 Że gdy choć z dala widziała Zenona,  
 Czując się jakoś lekko, i zadowolona.  
 Żyła weselem z uśmiechem na twarzy,  
 Coś takiego i starszym czasami się zdarzy.  
 Lecz u Tamary trwale, nieodmiennie,  
 Jej się to prawie zdarzało codziennie.

### Spotkanie

Razu pewnego podlewała grzedy,  
 A Zenon właśnie przechodził tamtędy.  
 Niby to wzrokiem zwiedzał zamek stary,  
 Choć w ogród patrząc, nie widział Tamary.  
 Przyspieszył kroku i już ogród minął,  
 Zerkając bokiem, szybko się uwinął  
 I tuż na trawie uklęknął za płotem,  
 Tamara wcale nie wiedziała o tym.  
 Prysnęła rączką z wiadra resztki wody,  
 Patrzyła wokół, szukając ochłody,  
 Bo nie ma jak to odpoczywać w chłodzie,  
 Toteż wodziła wzrokiem po ogrodzie.  
 Nagle jej oczy zawisły na gruszy,  
 Pod gruszą siadać? - pomyślała w duszy,  
 Czyż to nie milej będzie przy jabłoni?  
 Ta gałęzista przed słońcem uchroni.



Z tego też więc powodu różnych wyznań ziela,  
 Ciągnęły pod zbawienne skrzydła przyjaciela,  
 A tymczasem przyjaciel już wcześniej podumał  
 I z sąsiadem z przeciwka na dobre się skumał.  
 Wiedział on o tym dobrze, że kiedy dwóch w zмовie,  
 Siła bywa podwójna, podział po połowie.  
 Myśmy ani myśleli o takim podziale,  
 Nikt by tego nie słuchał, a już wierzył wcale.  
 Któżby śmiał podejrzewać, winić przyjeciele,  
 Ci najmniej, którzy przecież wiedzieli niewiele.  
 Ci z dołu... Ale nawet i ci, co znaczyli górę,  
 Nie wiedzieli, że przyjaciel ma lisią naturę,  
 Kiedy humanitarne obwiesił posłanie:  
 Uchrońcie się przed wrogiem ! Sam kąpiąc się w Sanie.  
 Wiedzieliśmy już wszyscy, że nas oswobodził  
 I każdy w jakimś stopniu z tym się już pogodził,  
 Czy był stary, zamożny, biedny albo młody,  
 Każdy dzielnie używał sąsiedzkiej swobody.  
 Wszyscyśmy to czynili, czy wielcy, czy mali,  
 Trochę dłużej, czy krócej, wszyscy używali.  
 Natomiast kwiaty ludu i Narodu ziela,  
 Ci jechali na Katyń albo do Koziela.  
 Nie po to ich tam wozik, by ich bawić, pieścić,  
 Im już nie trzeba było posłania obwieścić.  
 Wszystko się dowiedzieli, kiedy tam przybyli,  
 A nam by przekazali, gdyby jeszcze żyli.  
 Biedni, że też przysłowia tego nie wiedzieli:  
 Kiedy wrogów odpierasz, szczęż się przyjacieli.

### Pielgrzymka

Tamara po pielgrzymce wracała ze Lwowa,  
 Zawiedziona, zmęczona, zmartwiona, ni~~z~~ zdrowa.  
 Co chwilę to usiadła, nacierając obolałe nogi,  
 Bo ileż to one biedne, przemierzyły drogi.  
 Kogóż winić-myślała-chyba sama siebie,  
 Sama ja temu winna, jak mi Bóg na niebie.  
 Lecz trudno, darmo, do dom trzeba wrócić.  
 Ale do wroga wracać ? Fakt ten poczynał ją smucić.  
 Szła coraz wolniej, ciężej, samotna, zmęczona  
 Wtem jakaś myśl przelotna wspomniała Zenona

Oczy jaśniej ś błysnęły, Krok rytm serca głuszy,  
Poczuła, że jej lekko i raźniej na duszy,  
Bowiem on tylko jeden dał dowodów wiele,  
Że jest mi przyjacielem ponad przyjaciele.  
Nie okazał mi tego, gdyż czynił to skrycie,  
Możewiedział, że on jeden jest dla mnie jak życie  
Zenonie najdroższy! Gdzie ty się znajdujesz ?  
Jeśli kochasz, to jedno razem ze mną czujesz.  
Z tobą przez świat bym poszła, tyś mi ideałem,  
Wszędzie, gdzie byś zapragnął, całą duszą, ciałem:  
Gdzie rzeki, wody, morza, skały i urwiska,  
A nawet w żarze piekła byłabym ci bliska.  
Tam gdzie panują głody, choroby, zarazy,  
Dla ciebie wszystko oddam, ty jesteś bez skazy.  
Obojętne mi zatem, czy w piekle, czy w niebie,  
Aby z tobą, przy tobie, najbliżej ciebie.  
Dla ciebie cała dusza i serce otwarte,  
Mę uczucia po wieki nie będą zatarte.  
Ale kiedy już skończę wędrówkę tułaczą,  
Kiedy to moje oczy znowuż cię zobaczą.  
Nie bądź zatem przeciwny mojemu pragnieniu,  
Chciałabym jeszcze kiedyś usiąść z tobą w cieniu,  
W ciszy beczynninie siedzieć, gdy zechcesz bez słowa,  
Bowiem milczenie przecieź, to milczących mowa,  
Która gniewów nie wnosi ani też obrazy,  
A więc mówić nie będę , zamilczę dwa razy.  
Albo ci szepnę w ucho cicho, potajemnie:  
Że z tobą nawet i milczeć przyjemnie.  
Gdy wrócę do dom, a będziemy razem ,  
Dla ciebie nawet mogę stać się głazem.  
Jak ten głaz, co pod zamkiem, a raczej połowa,  
Wieki tam już spoczywa, a nie wyrzekł słowa.  
Milczy jak grób, choć co prawda, on przecieź jest grobem  
Lecz któż by mógł odgadnąć jakim to sposobem  
Znalazł się tutaj i od wieków leży.  
Jedni z dawna podają, że to grób rycerzy,  
Natomiast inni , że grób bohatera:  
Widząc on, że wróg grabi, niszczy i zabiera,  
Wydobył szablę i sam bez pomocy,  
Co prawda działał pod osłoną nocy

Ale gdy krzyknął na wroga! Na wroga!  
I wspiął konia ostrogą, przed nim pusta droga.  
Ale tuż z boku bagnet wroga ostrzem najeżony  
Tak niefortunnie, bo od lewej strony..  
Pociągnął szablą... Brzęk.. I w bok uskoczył,  
Rąbie jeszcze raz, drugi i trup się potoczył.  
Wtem w plecy dostał na raz cztery rany,  
Podciągnął konia i jak opętany,  
Ciął wokół szablą, choć już męśnie drżały,  
Trupy jak snopy na ziemię padały.  
Naprzód! -zawołał-i z konia się z sunął,  
Upadł na ziemię i ducha wyzionął.  
Nieprzyjaciel strwożony tak pewnym wołaniem,  
Każdy wróg myślał , że stu pędzi za niem,  
Że szabla brzęczy i że jest goniony,  
Wtedy jak pył się rozpadł i na wszystkie strony.  
A bohater choć martwy i choć leży w grobie,  
Ale dumne wspomnienie zostawił po sobie.  
Raz odczuł bóle i już go nie boli,  
Wolny umierał, nie chcąc żyć w niewoli.  
Bo ktoś by wiedząc, że niewola czeka,  
Nie unikał jej jak trądu z daleka.  
Tkwiło to także w naturze Tamary,  
A zwłaszcza, że w jej myśli wciąż tkwił zamek stary,  
Którego nigdy nie chciała porzucić  
I całą mocą pragnęła tam wrócić.  
Tam przecież mile swą młodość przeżyła,  
A co jeszcze ważniejsze, że szczęśliwą była.  
I wolną, i jakże żyła tam bezpiecznie,  
Tam umierać, tam konać albo tam żyć wiecznie.  
Gdy otworzyła oczy widząc obce twarze....  
Gdzie ja jestem ? Co robię!? Umarłam, czy marzę!?  
Pocałunek ust czyichś czuje na swej dłoni,  
Miętkość włosów i jakiś miły dotyk skromi.  
Nieco unioła głowę i zdziwiona patrzy:  
A cóż się tutaj dzieje!? Co to wszystko znaczy!?  
Jęknęła.. Zenon ! Swym oczom nie wierzę....  
Zenon jak gdyby nad nią odmawiał pacierze:  
U stóp jej klęczał, głowę w dłoni tulił,  
Bo już myślał , że zmarła i tak się rozczulił.

Wzrok w górę uniósł i szepnął nieśmieie:  
Nie wiesz jak mi jest przykro, mój drogi aniele:  
Bowiem święcie myślałem, że leżysz bez ducha.....  
Spojrzał...Lecz widzi, że Tamara słucha...  
Jął mówić dalej: przyszłaś tak daleko....  
By mdleć u obcych...Wiem, że ci nielecko...  
U jakich obcych!? Gospoia przerwała.  
Czyżby ja także obca!? I z krzesła powstała.  
My sobie obcy i w takiej godzinie !?  
Myśmy tu wszyscy jak w jednej rodzinie.  
Ta panienka, to jakby moja córka prawie:  
Miałam ją taką zostawić na trawie!?  
By tam na ziemi wśród swoich umierać !?  
O, moja droga, o co się tu wspierać!  
Gospodarz gniewny z kąta izby woła,  
Podchodzi bliżej pomarszczywszy czoła:  
Ja pierwszy to widziałem, że w bezruchu leży:  
Tu ani śladu, nigdzie, nie widać żołnierzy,  
Tam gdzieś daleko jakiś strzał upadnie,  
Myślę więc sobie, to przecież nieładnie.  
Jam chrześcijanin, w Boga prawo wierzę,  
A ta kobieta ma leżeć jak zwierze?  
Pobiegłem ku niej, bo święcie myślałem,  
Że może jakimś ugodzona strzałem.  
Klękam i ucho przykładam do ciała,  
Albowiem dłoń swą na sercu trzymała.  
Słucham i okiem spoglądam na szyję,  
Tętno drga jeszcze, to znaczy, że żyje.  
I właśnie na ten widok zbiegli się sąsiedzi,  
Powiadam wam tu szczerze jakby na spowiedzi:  
Podkładam ręce, biorę ją w połowę  
I dźwigam w górę, tańosi głowę,  
Ciało ma wiotkie, znaczy, że zemdlona,  
Ale w tym czasie przybiegła i żona  
I wrzeszczy na mnie: co robisz mój drogi!?  
Spokój! - powiadam -- weźmiesz ją za nogi,  
Trzeba ją będzie w domu na łóżko położyć,  
W końcu widzę, że żona poczyna się srożyć.  
Więc już nie czekam, biorę ją w ramiona,  
A za mną wszyscy idą: sąsiedzi i żona.

Sam już nie wiem, co tworzą: kondukt, czy paradę?  
Przyniosłem ją do izby i w łóżko ją kładę.  
Ani drgnie przecież, leży, lecz oczyma wlecze.  
Spojrze ja na jej bucik, a krew z niego ciecze.  
Więc w nogę ranna--sam sobie powiadam,  
ściągam buciki, wzrokiem wokół badam:  
Stopy ma piękne, iście mojej córki,  
Rąby większej nie widać, a tylko otarte naskórki.  
Krew taka czysta, jak gdyby sok róży,  
Na ogół nic mi to złego nie wróży.  
I wciąż stałem jak młokos niezdecydowany,  
Wahałem się, nie wiedząc, czy dotknąć terany.  
Wreszcie dotknąłem. Ta w bok się obraca.  
Poznać było, że życie powoli w nią wraca...  
Urwał. I w okno spojrział zaskoczony.  
Idźno tam zobacz--powiedział do żony.  
Ktoś tam gonitwy urządza, biegania....  
Żona jakby niechętnie, ku oknu się słania.  
Patrzy ciekawie w szybę zamazaną,  
Zakryła sobą szybę jakby drugą ścianą.  
A tu za nią już wszyscy do okna się pchają,  
Jeden ponad drugiego, aż na palcach stają.  
Nagle chłopiec sąsiada, co tchu w piersi pędzi:  
Co tam by się stać mogło, każdy pyta, ględzi.  
Wtem chłopiec w izbę zadyszany wpada:  
Widzicie ich, zobaczcie, pół głosem powiada:  
To czerwonoarmijcy, w pomoc nam przybyli,  
Jeżeli by to prawda, niechby sto lat żyli.  
Po drugiej stronie izby, nieduży chłopina krępawy,  
Chrząknął, splunął, odetchnął i podniósł się z ławy.  
Łysinę potarł ręką, podrapał po nosie.  
Pokiwał smętnie głową. Posłuchaj młokosie :  
Popatrz na moją głowę, łysa jak kolano,  
Do niej nie takie jeszcze teorie lano.  
Od nich właśnie bez włosa została nieboga,  
Czasem trudno odróżnić przyjaciół od wroga,  
Lecz tu widzę, że tobie historia obca,  
Doprawdy, wstyd mi wielki za takiego chłopca.  
Gdybyśmy tak myśleli, historia zginie,  
Więc posłuchaj, co mówię, uwierz tej łysinie:

Uniósł rękę, łysinę podrapał paznokciem  
 I na ramieniu chłopca oparłszy się łokciem,  
 Objął wzrokiem zebranych, jakby chciał wybadać,  
 Czy wszystko, co myśl niesie, może przy nich gadać.  
 Bowiem od niepamięci doświadczenie uczy,  
 Że wszelka nierozwaga, wroga jeno tuczy.  
 Powiadają, że Polak mądry jest po szkodzie,  
 Ale łysy nie w gorącej kąpany był wodzie,  
 Nie chciał nigdy oddawać strzału bez nabicia,  
 No, cóż tu dużo mówić, przeżył trochę życia.  
 Przybliżył się do okna, otarł szybę dłonią,  
 Zobaczcie-wyrzekł cicho-ilu naszych gonią.  
 To już nie samo wojsko, są wśród nich cywile,  
 Głowę schylił ku szybie i patrzył przez chwilę:  
 Wszyscy zmęczeni, pieszą, a na samym przedzie,  
 Powozem, jak król jakiś, sam komisarz jedzie.  
 To nasi pomocnicy i wyzwoliciele?  
 Oj, chopcze, chłopcze, jak ty wiesz niewiele.  
 To ten sam imperator, a tylko przybrał inne szaty,  
 A jeśli mnie nie wierzysz, to zapytaj taty.  
 On też był bolszewikiem przez niedługą chwilę,  
 Ale się wnet biedaczek rozczarował mile,  
 Z wielkim trudem, wysiłkiem powrócił na swoje,  
 Milej mu było pędzić te trudy i znoje,  
 Niż ot w takim powozie kolebać się dumnie,  
 A uważasz, że inaczej było także u mnie ?  
 Nie licz więc, że nie było....Wtem chłopak zawoła:  
 I wraz obydwie ręce podniósłszy do czoła.  
 Zobaczcie! O to do nas cały oddział goni  
 I komisarz powozem czarną parą koni.  
 Gospodyni od środka przeciska się bokiem,  
 Kiedy ledwo przez okno zerkła jednym okiem,  
 A już się jej głos zmienił, zadrżała na ciele.  
 Posłuchajcie kobiety, czasu już niewiele:  
 To nie są zalotnicy, gdzież im tam zaloty,  
 Żadna z was tu nie powie, że nie ma ochoty.  
 No, nie patrzcie tak na mnie -dalej do komórki!  
 Tam w dole jest piwnica-szybciej moje córki!  
 Nie patrzcie tak bo ze mnie to już człowiek stary  
 A panienka co myśli? rzekła do Tamary.  
 Pani jest piękna, miła przyjemna i młoda,  
 A wie pani jaką rolę odgrywa & uroda ?

Niechże panienska wreszcie głębiej pomyśli o sobie,  
 Bowiem trzeba nam wiedzieć, że w wojennej dobie,  
 Do kogo się prawdziwie możemy uzalić ?  
 A kim są ci żołnierze ? Nie myślę ich chwalić,  
 Tego nie powiem nigdy, że zbrojeńcy, dzicy,  
 Ale dobrze wam radzę: wejdźcie do piwnicy.  
 Lepiej wam chyba będzie w piwnicy posiedzieć?  
 A niżeli tej gorzkiej prawdy się dowiedzieć?  
 Pan także pójdzie z nimi-rzekła do Zenona,  
 Gorzkawo uśmiechnięta i rozpromieniona.  
 Nic nie wadzi okrasić troszkę ród niewieści,  
 Bo tutaj mógłby nawet pan przepaść bez wieści.  
 Inaczej pan ubrany niżli nasi chłopcy  
 I zaraz kiedy wejdą, poznają, że obcy.  
 A kiedy zapytają: a ten kto to taki?  
 To co ja im odpowiem? Bo nasze chłopaki....  
 Ale Zenon jej przerwał i zaproponował:  
 O, nigdy, moja pani, nie będę się chował!  
 Chowanki czy straszdyka, to nie w mej naturze,  
 Żeby ja w swej Ojczyźnie przesiadywał w dziurze ?  
 Jakby jakiś szczur podły....A ktoś się panoszył!  
 Rozkazywał, wymagał, grabił i pustoszył.  
 Czy ja to komuś swoje narzucam poglądy ?  
 Albo czy mnie unoszą nienawiści prądy?  
 Czy ja idę na siłę kogoś uszczęśliwić ?  
 Doprawdy, to już wszystko poczyna .mnie dziwić.  
 Czy mnie dziwi, że ktoś wierzy w Boga ,czy w Allaha ?  
 Każdy ma wolną wolę, może wierzyć w stracha.  
 Czy ja gdzieś, kiedyś komu wyznaczał lekturę ?  
 Że najlepsza wiara, wierzyć w dyktaturę.  
 Albo rzuć ziemię ojców i uciekaj boso,  
 Gdzie pieprz rośnie ,gdzie same oczy cię poniosą.  
 Lecz jeśli chcesz, & to zostań, ale ja tu panem  
 I na zawsze poddańczym mianuję cię mianem.  
 Masz myśleć jak ja myślę, albo jak ci każę,  
 Posłuszeństwo z twojej strony, masz ode mnie w darze.  
 Ja tych rzeczy przenigdy--umrę, a nie zniosę.....

## Przyjaciele

Aż tu nagle jak piorun drzwi się otwierają,  
 A wojacy z gwiazdami w drzwiach stłoczeni stają,  
 Karabiny przed piersią, na lufach bagnety.....  
 A Zenon westchnął w sercu: za późno....Niestety....  
 Gdy spojrział dookoła, już są otoczeni,  
 A komisarz z cywilem ukazał się w sieni.  
 Cywil wszedł do izby i spojrział od progu,  
 Jakby badał, czy prawda, że w każdym jej rogu  
 Stoi jeden z żołnierzy gotowy do strzału.  
 Gdy już sprawdził, zakaszłał i zaczął pomału:  
 Czystą mówić polszczyznę, jakby gdzieś z Krakowa,  
 Co tu za zgromadzenie? Przeciw komu zmowa?  
 Przeciw krasnej armii!? Nie chcecie się zgodzić!?  
 A myśmy tutaj przyszli, by was oswobodzić.  
 Myślicie, że przyjaciół to serce nie boli,  
 Kiedy gierman przyjaciół zbiera do niewoli,  
 Wszyscy wiemy, że giermanie złoczyńcy, tyrani,  
 Nie będziecie już przez nich bici, zniewaleni.  
 My dla waszego dobra zniszczymy tyranów,  
 Niebawem też nastąpi wyrównanie stanów:  
 Burżuje pójdą sobie gdzie porsuch nocuje,  
 U nas nad burżujami nikt się nie lituje.  
 Tylko mi nie spiskujcie, bo tak się nie godzi!  
 Który z was oficerem? Kto wami dowodzi!?  
 Wszyscy stali jak słupy, a w każdym maśl wrzała,  
 Słyszac jak im kostucha już marsza zagrała.  
 Gospodyni jak febrą drżała, przestraszona,  
 Gdy cywil się przybliżył o krok od Zenona.  
 Przyjrzał mu się dokładnie, od stóp aż do głowy,  
 Bo Zenon chęppprzystojny i wyglądał zdrowy  
 A wy skąd tu paniczu?--zapytał usłużnie,  
 Przystąpił się na nodze i wzrok rzucił w próżnię.  
 Wtedy gospoia, a żeby Zenona nie póścić do słowa.  
 Wyprzedziła uprzejmie: to kuzyn z Krakowa,  
 Przed Niemcami zmuszony uciekać mój panie,  
 A wszyscy przecieź wiemy, co to są giermanie.  
 A kiedy już w tych stronach przyszło mu się biedzić,  
 Jakby to wypadało ciotki nie odwiedzić.



Ja mu nie tylko ciotką, lecz i chrzestną matką,  
Wtem spostrzegła, że cywil para się zagadką,  
Począła ciągnąć dalej: Ja myślę mój panie,  
Że on już chyba u nas dłużej pozostanie,  
Bo jak ja mu pozwolę wrócić do niewoli?  
Jestem mu matką chrzestną, to mnie także boli,  
Może tu jakieś bliższe zawrze znajomości,  
Nie brak u nas panienek, które mają włości,  
A tylko potrzebują do nich gospodarza,  
Bo wie pan, jak to w życiu, że różnie się zdarza,  
Raz jeździ się pod wozem, drugi raz w karecie.....  
Cywil już się połapał, że gosposia plecie:  
Jakby w piec martenowski dolał jeszcze prądu,  
Zaciął zęby, wycedził: ręce do przeglądu!  
A zebranych jak laser przedziurawił wzrokiem,  
Zrywając się na baczność, do drzwi stanął bokiem.  
Komisarz zadufany wszedł do izby z sieni.  
Zebranych trzęsła febra, byli przerażeni:  
Z każdego kąta zezem lufy na nich patrzą,  
Poznali, że są zerem i że nic nie znaczą.  
Że tu ich może spotkać koniec całkowity.  
Ale łysy, to przecież znawca znakomity:  
Zmierzył wzrokiem od głowy do stóp komisarza,  
Aby zbadać jak ten dalej postąpić rozważa,  
Czy jest chociaż iskierka, jakiś cień nadziei  
I tak przeleciał wzrokiem wszystkich po kolei.  
U Zenona na twarzy widać było trwogę,  
Stał jak słup niewzruszony i patrzył w podłogę.  
Buta stawiał na szpicu, to znów na obcasie,  
Jak gdyby przez to właśnie chciał zyskać na czasie.  
Poznać było, że kładzie wysiłek niemały,  
By w porządku utrzymać ręce, które drżały,  
Które przecież za chwilę miał dać do przeglądu,  
Gdyż nigdy nie wiadomo o wyroku sądu.  
Bo być może, że spisany zostanie na straty  
I chcąc nie chcąc, być może trzeba pójść za kłaty.  
Nie wiedzieć też za jakie grzechy pokutować?  
Kogo winić i komu swe żale zachować?  
Czasem i takie trzeba rozwiązać zagadki:  
Może to to wina dziadów, może ojca, matki ?

Która pod niewłaściwą gwiazdą chciała go urodzić,  
 Aby miał życie gorzkie i nie mógł go słodzić.  
 A być może wszystkiemu winni są dziadowie,  
 Że mając moce siły, a nie mieli w głowie,  
 Aby przerwać tęciągłość nieludzką i szarą,  
 Po co ciało, serce i ducha, czyż nie lepiej parą  
 Pozostać lub powietrzem być przez całe wieki:  
 Od pary, czy powietrza konflikt jest daleki.  
 Konfliktami jedynie parają się ludzie,  
 Ci ulegną fortunie, fałszowi, obłudzie,  
 Tych na bądź jaki kęsek można łatwo zwabić,  
 Nie tylko mogą szkodzić, ale także zabić.  
 Spojrzał więc po zebranych, czy go wzrok nie łudzi,  
 Lecz nie. Ci bowiem całkowicie podobni do ludzi:  
 Głowy mieli spuszczone, wzrokiem bodli ziemię,  
 Poznać było, że dźwigają nienawiści brzemię.  
 Ale co mieli począć wobec tej przemocy?  
 Niektórzy z nich myśleli o minionej nocy,  
 Kiedy wykłady mieli z naszym kapitanem.  
 On im mówił: będziecie poniżani, a wróg będzie panem  
 Nie wpadajcie w panikę, w okowy rozpaczy,  
 Polska wam podziękuje i Bóg wam wybaczy.  
 Bowiem sztuką jest wytrwać, choć siły nie stają  
 Wróci Polska i wolność i polskie zwyczaje.  
 Myśląc przymrużył oczy jakby się zaczadził,  
 Palcem to nos pocierał, to znów usta gładził,  
 Wzrokiem wodził i nosem pociągał co chwila,  
 Raz patrzył w komisarza, drugi raz w cywila.  
 To leciał po wojakach, którzy wokół stali,  
 Spoglądał jak to palce na spustach trzymali.  
 To znów mierzył odległość lufy od bagnetu,  
 Bo to przecież tych broni podwójna zaleta:  
 Jedynie spust nacisnąc, człowiek martwy leży,  
 Strząk zamka, łuska błysnie i już nabój świeży  
 Wprowadzony do lufy, do strzału gotowy  
 I może incestwić najtęższe głowy.  
 Natomiast bagnet długi ze wszechwładnym szpicem,  
 Radziłyby sobie świetnie nawet ze szlachcicem

Nawet najczulsze serca zdolny byłby podziurawić  
 Choćby tylko pragnęły skromną wolność sławić.

Gdy myślą dotknął wolność, szybciej biło serce  
 I byłby w nieskończoność płynął w tej rozterce,  
 Ale mu ją przerwała gospodarza żona,  
 Którą sama przez chwilę stała zamyślona.  
 Teraz właśnie podeszła wprost do komisarza,  
 Podkasując rękawy, swe ręce obnaża:  
 Białe jak alabaster kiedy obnażone,  
 Płdne, gładkie, okrągłe jakby wytoczone,  
 Paluszki proste długie, dłoń dziecinnie mała,  
 Paznokcie odcień róży, choć nie malowała.  
 Znałby rzekłby, że to istic królewskie są dłonie,  
 Poznać było, że komisarz też je wzrokiem chłonie,  
 Że je sercem ubóstwia, że je pieścić marzy,  
 A cywil stęknął myślą: To kęsek cesarzy,  
 Odwrócił nieco głowę i oczami zmrużył,  
 Gdyż sam sobie nie wierząc, czy się nie zadurzył.  
 Zbliżył się do gosposi.... Kochana.... Niestety....  
 Nam chodziło o mężczyzn, a nie o kobiety.  
 Zatem, proszę uprzejmie, drzwi jej raczył wskazać,  
 Obraz tych pięknych dłoni chciał z pamięci zmasać.  
 Gosposia, acz niechętnie, wybiegła na pole,  
 Spojrzy: a tu w ogrodzie, w oborze w stodole  
 Wszędzie pełno żołnierzy. Jedni dołki kopią,  
 Drudzy natomiast w studni jakieś haki topią.  
 Inni aże na strychu jak węże się snują,  
 Jeszcze inni na dachu dachówkę zdejmują.  
 To znów od szopy z tyłu rwą deski z łoskotem,  
 I pikami drenują w pokrzywach pod płotem.  
 Goręczkowa wre praca jakby na bułowie,  
 Gosposia zaskoczona sumowała w głowie:  
 Co to wszystko oznacza? Czego szukać u mnie?  
 W pobliżu smukły żołnierz przechodził się dumnie.  
 Podeszła więc do niego.... Chciałam spytać pana,  
 Jakiego wy w mym domu szukacie szatana?  
 Wszystko mi rujnujecie i czego szukacie?  
 Czy nie jesteście ludźmi, czy serca nie macie?  
 Wy cudzoziemcy! Nie wiem, co myślicie.....  
 Ale żołnierz natychmiast uciszył ją znakiem, :  
 Na ustach kładąc palec..... \$\$\$\$\$\$\$\$ Jam też jest Polakiem  
 Ja jestem od Smoleńska, tam Polaków wiele,  
 A przecieżmy Polacy mamy wspólne cele.

Nie wiem kogo tu winić ludzi czy niebiosy ?  
Że Polaków tak niecznie wymieszały losy?  
A ileż to znas już nie zna nawet polskiej mowy,  
Ale to nam sprawiły zaborów okowy.  
Minął wiek, wnet półtora-miną jeszcze lata,  
Zanim nasz Naród znowuż się pobrata.  
Ale żyjmy przyszłością, nie traćmy nadziei.  
Nagle spojrzął za siebie, a tu po kolei:  
Idą ku nim wojskowi, z cywilem na przedzie.  
Siostró, żyj szczęściem i niech ci się wiedzie.  
Ci dwaj na przedzie, to imperatorzy,  
Znawcy uczuć Polaków i dłoni znachorzy.  
Lecz polskich myśli oni nie poznają,  
Pomimo, że niesłusznie nasz język kalają.  
Idę komisarzowi złożyć sprawozdanie  
I skłonił się szarmancko już na pożegnanie.  
Gospośia szła zań wzdrokiem, chc stała w bezruchu,  
Trudno byłoby zgadnąć, co myślała w duchu.  
Czy wyrzucić za burtę, czy w sercu zachować?  
Te wyznania żołnierza jak zawyrokować?  
Bo gdyby był Polakie, szczere miał wyznanie,  
A możeby tu męża zapytać o zdanie?  
Chciała do męża pędzić i już była w biegu,  
Gdy ujrzała żołnierzy, co stali w szeregu.  
Gołowi do odmarszu, na rozkaz czekali,  
A komisarz z cywilem ciągle rozmawiali,  
Jkaby się obaj całe nie widzieli wieki.  
Nagle gdzieś od północy, słyhać strzał daleki.  
Wtedy padł rozkaz: Szukać sprawcę strzału!  
Lecz komisarz z cywilem zupełnie pomału,  
Wygodnie, bez pośpiechu w powozie usiedli  
Inieprzerwanie dawną pogawędkę wiedli.  
Woźnica cmoknął koniom, bat obrócił bokiem.  
A konięta leniwie ruszyły się krokiem.  
Potem kłusem i ciągle dobierały siły,  
A całe chmury kurzu za nimi goniły.  
Niebawem też zniknęli w pobliskim zakręcie,  
A gospośia, no właśnie w tym samym momencie  
Drzwi otwarła do izby, smutna i zmartwiona  
I pierwszy blask swych oczu rzuciła w Zenona.

Zenon stał tak niewinnie posmutniały, blady,  
 Łysy zaś z kąta izby prowadził wykłady:  
 Do czego oni dążą-pojęcia nie macie,  
 Gdyż Lenin był wam obcy, marksizmu nie znacie.  
 Ale ja ,co bywałem już kiedyś marksistą,  
 Mogę wam opowiedzieć prawdę oczywistą:  
 Widzieliście, jak dłonie skrzętnie obejrzeli?  
 Jak gdyby chiromanci, którzy wróżyć mieli,  
 Gdy nic im nie mówiły nasze twarde dłonie,  
 Toteż niepysznie poszli jak chory po zgonie.  
 Albowiem marksistowskie tam mówi przysłowie:  
 Że kto dłonie ma twarde, ten miękko ma w głowie.  
 Bo cóż tu siła znaczy w dzisiejszej epoce?  
 Choćbyście nawet mieli Herkulesa moce,  
 Nic nie zdziałacie, bo dziś siła, to istotne zera,  
 Dziś na karku mieć trzeba głowę komputera.  
 O to właśnie chodziło-ci Marksa wasale,  
 Oni szukali mózgów, co twardsze niż stale,  
 Którym nie wciśniesz siłą, czyichś myśli, doznań  
 Marnych ideologii, czy pustych sprawozdań.  
 Te mózgi jak sprężyny, zawsze są w porządku,  
 W nich płynie prawda, w nich po brzeg rozsądku.  
 Nie będą wypełniały żadnej obcej woli,  
 Wiedzą co im potrzebna, wiedzą, co je boli.  
 A ten nasz komisarzyk jaki był wzorowy,  
 Oglądał przecież dłonie, a oceniał głowy.

### Sami swoi

Gospościa tych wywodów wcale nie słuchała,  
 Co on sobie majaczył....swoje sprawy miała:  
 Uśmiechnięta, wesoła weszła do komórki,  
 Trzykrotnie zastukała....chodźcie moje córki!  
 Wianki wam pozostały, tytuły dziewicy,  
 Ale to zawdzięczajcie jedynie piwnicy.  
 Zapanował już spokój, wszyscy cali, zdrowi  
 I z otwartymi dłońmi przyjąć was gotowi.